XXIII. Kraków, 1 kwietnia 1920 r. Nr. 7.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 M. 97 fen.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 (dom własny). Telefon Nr. 679

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 1·40, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 2, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 2·80, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 7.

Numer pojedynczy 2 M. 10 f. = 3 Kor. **Redaktor: K. Krumłowski.** Numer pojedynczy 2 M. 10 f. = 3 Kor.



PRIMA APRILIS.

— Nie przypuszczałem... prawdziwa niespodzianka!

— Zapomniałaś, że dzisiaj prima aprilis — dzień niespodzianek!..

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy I-szy kwartał XXIII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru **już nie otrzyma.**

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową od 1-go stycznia 1920 r. wynosi:

Rocznie	Mk. 47·88
Półrocznie	„ 23·94
Kwartalnie	„ 11·97
Pojedynczy egzemplarz	„ 2·10

Futurysta.

O panu Tuwim
Nieco pomówim,
Ten futurysta
Na wszystko śwista.
Ma się za bóstwo
Jak bzików mnóstwo,
Pisze wierszydła
I sam je czyta,
No jednem słowem
Waryat i kwita.
Więc go czprędzej
Kochani ludzie
Do Kobierzyna
Zabierzcie w budzie!



Znawcy sztuki.

— Ja panu powiadam, że nasze społeczeństwo nie ma zupełnie zamiłowania do sztuki. Rzeźba prawie nie istnieje, a malarstwo, to także... guzik warte... Czy się znajdzie jaki artysta, który potrafiłby genialnie wymalować rzepę?... Uczmy się tego od Japończyków... Tam, gdy który z nich wytrze palec o ścianę, to już arcydzieło, o jakiem my pojęcia nie mamy!... To też nasza sztuka stosowana nie dorosła do ich sztuki!

— Ja tam, przyznam się panu, wolę sztukę garnirowaną...

— Garnirowaną?... Jak to pan rozumie?... Czem?...

— A czemżeby?... Trochę zimowej sałatki, rydzyk, kawałek ogórka, trochę musztardy, może być i chrzan...

— Genialny artysta potrafi i to oddać!...

— Pocóż oddawać?... Ja myślę, że raczej zjeść!

— A o jakiejże sztuce pan mówi?

— Naturalnie o sztuce mięsa...

— Tfu!... Szkoda gadać z takim filistrem, któremu tylko żarcie w głowie!... Wy „mydlarze“ nie zasługujecie nawet na miano ludzi cywilizowanych!...

Na wystawie japońskiej.

(Podsłuchane.)

— Powiedz pan sam, czy ten obrazek to nie arcydzieło w każdym calu?... Patrząc na ten wulkan, zdaje się człowiekowi, że czuje woń wybuchających gazów!...

Słuchacz pociągnął nosem raz i drugi, a potem rzecze:

— Ma pan racyę!... W samej rzeczy czuję!... Ale ten zapach taki jakiś nasz, swojski... Nie wiedziałem, że w Japonii pachnie tak samo, jak i u nas!...

Pomogło.

(odsłuchany dyalog).

— Cóż lekarz przepisał pańskiej ciotce?...
— Zakopane...
— I pomogło?
— Nie tyle jej, ile nam!... Już ją zakopano, a my odziedziczyliśmy po niej spadek...

Oświadczyny kupca.

Droga Wandziu! racz wysłuchać
Serca propozycyi mojej:
Jestem kupcem (jak wiesz o tem)
Mój interes dobrze stoi.
Lecz samemu jakoś głupio,
Sam człek panem i sam służy,
Kundzia pewnie wie już o tem,
Że ja mam interes duży.
Oto uciekł mi pomocnik,
Niech ucieka, krzyż na drogę!
Sam — jak pannę Kundzię kocham,
Sam bez niego — pcham jak mogę!
Lecz myśl dręczy mnie okropna,
Bom sam spostrzegł na ostatku,
Że się mój interes piękny,
Zwolna chyli do upadku!
Chcę go podnieść jak najprędzej,
(To wyznaję wprost panience),
Lecz go dźwignąć tylko mogą,
Pracowitej żony ręce.
Więc o twoją rączkę proszę,
Bo już panie wszystko rwie się
I mam wiarę, że pamiętać
Będziesz o mym interesie!

Polityczny telegram.

Paryż. Radio stacyi krakowskiej: *Echo de Paris* donosi z Moguncyi, że przybył tam na wypoczynek po dokładnem zbadaniu zagłębia Sary, marszałek Foch. Trudy z tem badaniem połączone tak wyczerpały siły marszałka, iż celem wypoczynku musi się na pewien czas usunąć w zacisze życia domowego.



Prima Aprilis!...

(Obrazek, malowany w kwietniowem słońcu.)

Pan Kohn był człowiekiem najzupełniej ze siebie i swego losu zadowolonym. Robił dobre interesy na wszystkie strony, pieniądze pchały mu się poprostu drzwiami i oknami, w kryminale dotąd nie siedział, a że był bezdzietny, z tego nic sobie nie robił, całą winę zrzucając na swą dozgonną towarzyszkę panią Sarę.

— Co znaczył najlepszy robotnik — zwykł był mówić w gronie przyjaciół — jeżeli warsztat jest kiepski!...

Czy tak było w samej rzeczy, orzec trudno, to przecież pewne, że pani Sara była młodszą od swego małżonka o okrągłe dwadzieścia lat i rwała się do życia, gdy tymczasem on całe szczęście swe widział w robieniu interesów i spędzaniu wolnego czasu w kawiarni.

I byłoby może już dawno wygasło ognisko domowe państwa Kohnów, gdyby nie znaleźli się poczciwi przyjaciele, którzy pomagali je rozdmuchiwać opieszałemu panu domu.

Mógł wprawdzie pan Kohn zmienić „warsztat“, to jest podać się o rozwód i wziąć sobie inną żonę, tego przecież nie czynił ze względu na oszczędność pani Sary i jej kucharskie zdolności. Wątróbka gęsia przez nią przyrządzana, to specyał, za którym pan Kohn przepadał, a „pipik“, to poprostu poemat...

Większość dnia spędzał pan Kohn poza domem, w południe tylko i wieczorem spieszył doń, lecz nie tyle na skrzydłach miłości, ile apetytu. Drogą na żołądek zawładnęła pani Sara sercem swego małżonka i była pewną, że nikt go jej nie odbierze, chyba... lepsza kucharka, ale o takie dziś trudno.

Po śniadaniu spieszył pan Kohn na „giełdę“ do *Spatza*, gdzie bawił do południa, załatwiając różne interesy, do których miał fenomenalne szczęście. Ojczyźnie służył, jak mógł i jak umiał. Nie danem mu było nadstawić piersi „na polu chwały“, wziął się do dostaw dla wojska, gminy, odbudowy kraju, dając piękny przykład zapobiegliwości i obywatelskiej gorliwości.

Od *Spatza* szedł do domu na obiad, skąd po krótkiej drzemce kierował się do *Esplanady* „na politykę“, wracał do domu na kolacyę, a wieczory spędzał stale w *Secesyi*, grając w „szmendę“, przyczem cieszył się też stale szczęściem, którego mu ogólnie zazdraszczano.

Pani Sara miała zatem dość wolnego czasu, i jak twierdzono, umiała z niego korzystać.

Zdarzało się czasem, że pan Kohn szedł popołudniu do *Royalu* na „buki“ (gra w domino), przyczem mu też szczęście służyło.

I dziś zjawił się też, załatwił jakiś interes, a potem, gdy się partya zebrała, zasiadł do gry...

W pierwszej partyi wygrał, w drugiej także..., ku zmartwieniu współpartnerów, a podziwieniom „kibiców“, których zebrała się cała galerya...

— Szlag-by ciebie trafił, Kohn — rzekł któryś z nich — jakie ty masz świńskie szczęście...

Pobożni żydzi splunęli na wspomnienie „nieczystego zwierzęcia“, Kohn uśmiechał się z dumą.

— Skąd ty bierzesz to szczęście? — spytał drugi.

— Jakto?... Nie wiesz?... — odpowiedział ktoś inny. — Gracze i myśliwi umieją szukać szczęścia!... A Kohn ma byczą babę!... I dla niego jest dość i dla innych wystarczyłoby jeszcze!...

— Kohn!... Może ty odstąpiłbyś mi trochę tego szczęścia? — żartował sąsiad. — Ja ci wielkiej krzywdy nie zrobię!...

— Moi kochani — odezwał się na to Kohn z powagą — ja bardzo nie lubię, jak mi kto wpycha niepotrzebnie nos w domowe interesy... Mam szczęście, to już moja rzecz, a nikomu nic do tego!...

— Dajcie spokój, bo Kohn gotów jeszcze kogo wyzwać na pojedynek!...

Zaczęto się śmiać, rozmowa zeszła na inny temat. W jej trakcie wszedł znany „witzmacher“, pan Rosenheck, zwany popularnie „Hosendreckiem“...

— Serwus „Hosendreck“!... — odezwały się głosy. — A co tam nowego?... Podobno nowa misya żydowska jedzie do Polski...

— A niech sobie jedzie! — odparł, a zwracając się do Kohna, dodał. — Ty, Kohn, siedzisz tu, a pewnie nic nie wiesz, że masz w domu gościa...

— Żebyś wiedział, jakie ma szczęście — wołali na wyścigi partnerzy i galerya. — On przed wyjściem z domu musiał po...

— Poco on to ma robić — kończył Hosendreck — skoro za niego robią to inni... A chyba wiecie, że kto ma szczęście w grze, nie ma go w miłości... Nawet nie jest ciekawy, kto jest u niego w gościnie...

— No? — zapytał Kohn z jakąś kwaśną miną.

Narobił mu apetytu.

(Dyalog dwu gołych demokratów.)

— My, biedacy, poumieramy chyba z głodu... Do restauracyi można chodzić jedynie poto, aby tam robić inhalacye z kuchennych zapachów, bo na zjedzenie czegoś człowieka nie stać!... Sztuka mięsa dziesięć koron i do tego jaka miniaturowa porcyjka!...

— Ja jadłem obiad: wódka, zupa, ładne mięso z ogórkiem, rozbratel z ziemniakami, bułka, do tego bomba piwa i czarna kawa... Z trzech koron jeszcze mi wydali...

— Człowieku!.. Gdzie i kiedy?... Zaraz tam pędzę...

— Zaraz ci powiem!... Gdzie?... W każdej krakowskiej restauracyi!... A kiedy?... Przed wojną!... I dziś możesz mieć to samo, ale płać złotem lub srebrem...

Taki to już nasz los!

Na bankiecie w Cieszynie wygłosił przewodniczący komisyi plebiscytowej płomienną mowę, w której zaznaczył, że Polska, tak jak dawniej, jest owem „przedmurzem“, które ma chronić resztę Europy od barbarzyńskiej nawały, idącej od Wschodu. Dziś tę „nawałę“ tworzą bolszewicy.

To jednak bieda, że wszyscy uważają nas za mur ochronny, ale nikomu jakoś nie przyjdzie nawet do głowy, aby ten mur wzmocnić. Owszem, uważają go tylko za jedyne miejsce do... załatwiania różnych „potrzeb“ (co, jak wiadomo odbywa się zazwyczaj pod murem...). — Taka zaś *pomoc* nie na wiele się przyda!...

A jednak rząd dba o nas!...

Korespondent nasz warszawski donosi telefonem bez drutu:

„Minister aprowizacyi polecił wszystkim ekspozyturom, zajmującym się dostawą mąki amerykańskiej dla miast i ognisk przemysłowych, aby dołożyły starań i rozwinęły jak najintenzywniejszą działalność ze względu na zbliżające się... żydowskie święta Paschy.



Ba! żeby to tyle było.

Zośka — jak to rzecz zwyczajna,
Za kochanka ma gemajna.
Czasem także się pozwala
Wycałować... przez kaprala.
Ale niemniej także szczera
Dla pompiera i führera,
I na stróża patrzy miło —
Ba! żeby to tyle było!

Zdrowa rzecz — mieszkanie letnie
Myszy mnożą się tu świetnie,
Szczury duże — jak na strachy,
Z stajni idą zaś zapachy!
Żyć i śnić nam tu jedynie:
Przed oknami leżą świnie,
Kwicząc chórem z całą siłą.
Ba! żeby to tyle było!

Zjadł dwa wielkie butterschnity,
Gulasz, szklankę okowity.
Potem, czy kto wiarę da mi:
Sto pierogów z ziemniakami
Na to wszystko sześć bomb piwa
I na kwarglach znów używa —
Wtem go w brzuchu coś chwyciło,
Ba! żeby to tyle było!

Nowy pomnik

ze starą omyłką druku.

Na krakowskich plantacyach ma znaleźć pomieszczenie pomnik byłego pierwszego dyrektora polskiego monopolu tytoniowego, ufundowany przez palaczy, którzy, dzięki owemu panu, odzwyczaili się od palenia.

Będzie on otoczony kasztanami i bukami, jako roślinami, dostarczającemi tytoniu, a ma mieć formę cygara *kuba*, w wieńcu z *cigarillosów*, na cokole w formie paczki tytoniu „*jawańskiego*“.

Na przedniej stronie popiersie dyrektora, wyrżniętego w marmurze, z napisem:

„Inicyatorowi rozboju monopolu tytoniowego — wdzięczni palacze, którzy się od tego nałogu, dzięki Jemu, odzwyczaili“.

Szlachetna krew.

Pewien galicyjski hrabia, znany ze swej oszczędności, graniczącej ze skąpstwem. czując się słabym, wezwał zamiast lekarza, cyrulika, starego Jojnę, by to taniej wypadło.

Pana hrabiego bolały zęby, spuchły mu dziąsła, zatem Jojne orzekł, że niema innej rady, tylko na dziąsłach trzeba postawić pijawki.

— A dużo to będzie kosztować? — pyta hrabia.

— Dla jaśnie pana hrabiego — Jojne na to — dwa korony...

— A pomoże?

— Coby nie miało pomódz?... Jak Jojne radzi, to musi pomódz...

Przystąpiono zatem do kuracyi. Jojne ze słoika wyciągnął dwie pijawki i przystawił je do jaśnie wielmożnych dziąseł... Pijawki obie natychmiast się przyssały...

Jojne z zadowolenia aż cmoknął, utarł nos palcem, poprawił rękawem potem zaś rzekł:

— Co to znaczy szlachetna krew!... Ja wczoraj te same pijawki stawiałem starej Ryfce, gęsiarce, bo ona choruje na hemoroidy, ale się ani rusz chwycić nie chciały... A u pana hrabiego to zaraz!... Nawet takie bydlę wie, co to jest szlachetna krew...

I cmoknął raz jeszcze, a hrabiemu zrobiło się jakoś niewyraźnie, gdy sobie uzmysłowił, gdzie te pijawki wczoraj były...

Dygas.

Wśród śpiewaków, których masa,
Swietna firma jest Dygasa,
Lecz na lożę koron dwieście,
To za dużo jest nareszcie;
Nawet za tak cenny tryller,
Milszy, lepszy Henio Miller!...



— Szedłem obok twego domu, gdy właśnie twoja żona wchodziła do bramy z jakimś młodym oficerem. Nie znam się wprawdzie na mundurach, ale zdaje mi się, że to musiał być Francuz...

— To przecież nasi sprzymierzeńcy! — ktoś zauważył. — I kobiety są obowiązane do świadczeń wojennych...

— Z moją żoną oficer? — powtórzył Kohn, nie wierząc swym uszom.

— Tak!... Z twoją żoną!

— To być nie może!.. Ona poszła do krawcowej...

— Wielkie rzeczy!... Znalazła sobie krawca!... A te Francuzy, to dobre majstry...

— Moja żona!... — powtórzył jeszcze raz Kohn, chwycił za kapelusz i wybiegł z kawiarni.

Gdy zniknął za drzwiami, roześmiał się Hosendreck.

— A to go potrzebowałem brać na kawał...

— Więc to nie jego żona? — pytano.

— Na oczy jej nie widziałem!

— I miałeś sumienie tak go przestraszyć?

— A on miał sumienie, dając mi w tamtym tygodniu dwie stemplowane tysiąckoronówki, na których straciłem trzydzieści procent?!... Zresztą dziś pierwszego kwietnia, to można zwodzić!

— Pawda!... *Prima Aprilis!*... Ciekawy jestem, co też Kohn powie, gdy wróci!... Ja, gdybym był na jego miejscu, powiem ci prawdę, dałbym ci w gębę, gdybyś sobie tak ze mnie zakpił...

— *Aj waj!*... Jaki rycerz!... Skoro ty masz tyle energii, dlaczego nie idziesz do wojska?...

— A dlaczego ty nie poszedłeś?... Ja tam w czasie musterunku nie siedziałem rok w piwnicy, a jeżeli mnie nie wzięli, to nie moja wina...

— A ile cię to kosztowało?...

— Panowie!... Dajcie spokój — reflektował któryś z towarzyszów. Poco to wspominać o tem wszystkiem... Co nas to obchodzi?... Ciekawsze, co powie Kohn, bo widzę, że wraca zupełnie spokojny...

— Bo sobie z niego zażartowałem! — tłumaczył Hosendreck.

W tej chwili wszedł do kawiarni pan Kohn, powiesił kapelusz, siadł na swem miejscu i zapytał najspokojniej:

— Gramy jeszcze jedną partyę?

Zabrali się do gry, pan Kohn naturalnie wygrał...

Rosenheck tymczasem nie mógł wytrzymać dłużej i aby dalej żartować, spytał z udaną powagą:

— Kohn!... Ty jego potrzebowałeś zastać?... Kto to taki?...

A Kohn na to:

— Ty Hosendreck, jesteś osioł!... Ty sobie możesz urządzać kpiny z takich, jak sam jesteś, a nie ze mnie!... Ja jestem na to za stary i za poważny...

— Ładnie stary, jeżeli dwa lata temu stawał do „musterunku“... — ktoś zauważył.

— I jeszcze nawet włosy mu na głowie nie wyrosły! — dorzucił drugi, biorąc asumpt do łysiny pana Kohna.

— Więc go nie było? — pytano ze śmiechem. — Ty przecież nie powinieneś się był dać wziąć na kawał, bo chyba wiedziałeś, że dziś pierwszego kwietnia!... Hosendreck cię zwiódł...

— Tak!.. I tego mu nie daruję!... Pędzę do domu, a po drodze myślę sobie, że niech go tylko spotkam... Wszystko mi jedno Francuz, czy Włoch, jego śmierć, albo moja!... Bo ja bardzo nie lubię takie rzeczy! Na szczęście...

— Nie było nikogo!... — przerwano.

— Nikogo, jak nikogo!... — odpowiedział Kohn po chwili. — Był, ale nie Francuz, ani Włoch!... To był oficer od intendantury, od którego dostaję różne dostawy!...

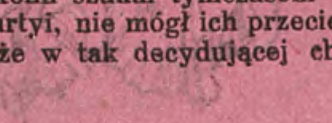
— I ty nic na to?...

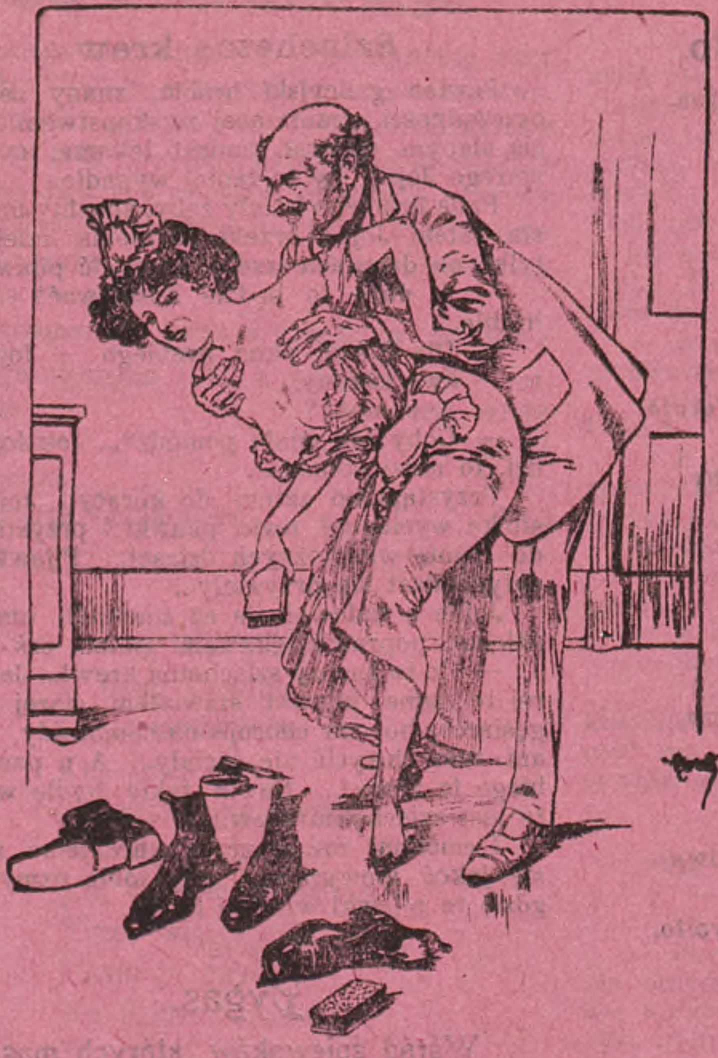
— Co ja mogę za to?... Jak ja przyszedłem do domu, Sara pyta się: „To ty już wróciłeś?... Ja się ciebie nie spodziewałam!... Ja mam wizytę!...“ A po chwili dodała: „Widzisz, jak ja ciebie kocham!... Nawet, jak ciebie niema w domu, to ja tobie pomagam do interesu“...

— Taką żonę mieć, to rozumiem! — westchnął jeden z partnerów.

— I teraz dopiero wiem — dodał inny — dlaczego Kohn ma takie szczęście w każdej grze...

A pan Kohn szukał tymczasem towarzyszy do nowej partyi, nie mógł ich przecież znaleźć... Wiedzieli, że w tak decydującej chwili muszą przegrać...





— Panie doktorze!... Ja jestem biedną dziewczyną! Jeżeli mnie pan kocha, to proszę mi co zapisać.

— A dobrze! zapiszę ci proszki na wypadek migreny!



— Julka opowiadała mi, że mąż jej wyszedł wieczór w skarpetkach, a wrócił zrana w damskich pończochach!

— To nic jeszcze!... Mój mąż wyjechał z domu na rowerze, a wrócił w nocy na maszynie do szycia!... Tacy są mężczyźni!



— Wieniec ślubny!... Blaga i hipokryzya!... Etykieta cnoty.

— To też dlatego na głowie go się nosi!



— To pech!.. Właśnie musiała przyjść do żony przyjaciółka, której ja chcę przyjaźń oświadczyć!



A: To bohaterska dziewczyna! Broniła się jak lwica... A była sytuacya „albo cnota albo życie!"

B: I cóż?

B: Dzielna dziewczyna! Uratowała swoje życie!



Mój kochany! dość mam już tych prelekcyi o miłości. Rozpocznijmy raz praktyczne kursa doświadczalne!

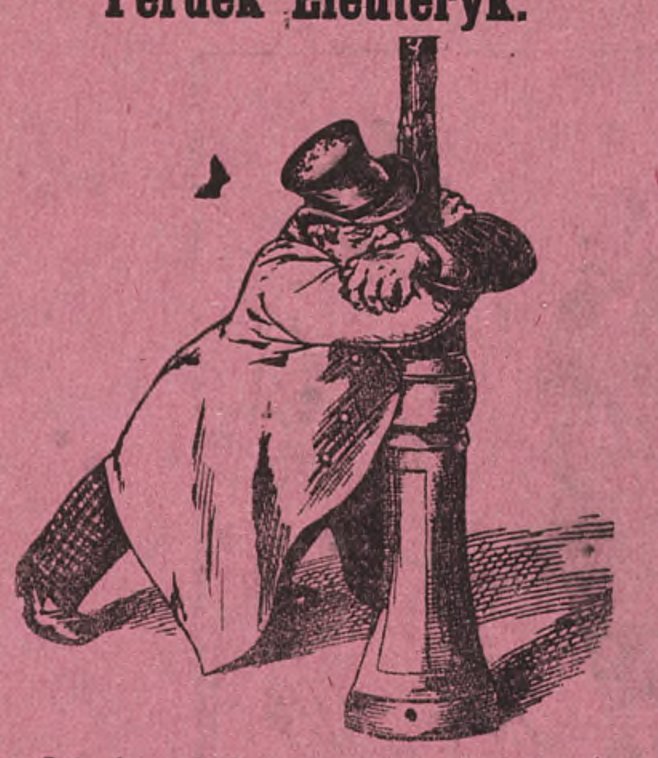


— Czy pani twoja w domu?
— Tak jest! w tej chwili poszła do łóżka.
— Tak!... to zameldуj mnie natychmiast



— Zemdlała!... Ach, jak ona uroczo wygląda w tej pozycyi!...
— To nic jeszcze!... Trzeba ją widzieć gdy pływa na wznak!

Ferdek Eleuteryk.



Już nieroz byłem grypsający, że bez wojnę cały świat wykopyrtnon się do góry cybuchami, a jeżeli dotąd nie chodzimy na głowach, to ino skróś przyzwoitości i ze względu na starsiejsze brzany, bo te młodsze zgodziły by się na to pewnikiem.

Gdzie ino wrazisz grabę, abo wetkniesz z przeproszyniem swój gzyms, wszędzie same nowości. Ale powiedzioł Ben Akiba, czy też inakszy jakiś gudłaj, że nic nowygo pod słońcem, i tak jest w samej rzeczy. To, co się nam widzi, że jest nowe, znały już nasze babki, dziadki i inaksze przodki, o tyłkach nie mówiący, bo na nie czas dopiero później bedzie przychodzący.

Tak sie rzecz ma cała i z posiedzyniami spirytyśtycznemi, które się nazywają syjanse i są teraz w modzie.

Mam ciotkę, która miszko na Kleparzu. Opowiadała mi nieroz, że za czasów bardzo dawnych, kiedy była jeszcze rychtelną panną (choć nigdy za mąż nie wyszła, bo nimiała szczyńścio do narzeczonych, co se jakigo upatrzyła, to sie obabił, ale z jenszą!...), były w modzie stoliki wirujące, które skokały, jak żywe. Mo jeszcze taki stolik, który właśnie skróś owygo spirytystycznygo fikanio okulawioł, i mo ino trzy nogi. Z duchami była za pan brat, ale potym puściła je kantem, bo jej zakozoł bawić sie w takie zbereźnictwa ksiondz, gdy była do spowiedzi u świentyj Babrały.

Teroz — jakby powiedzioł nowomodny szmaciorz — mamy powrotną falę spirytyzmu, a wywoływaniem duchów bawią sie przeważnie brzany, choć zawdy są se chłopa do pomocy bierące, bo wiadomo, że dotąd wszyćko idzie starym porządkiem i baba bez chłopa choćby pękła, rady se nie może być dająca. Zwłaszcza do owygo pęknińcia jest jij chłop koniecznie potrzebny.

Otóż, kiedysi byłem ci na takiem syjansie spirytystów i spirytystek.

W izbie ciemno, jak na głównyj ulicy w Krakowie, a tak cicho, że się aż nie dobrze robi, zwłaszcza brzanom, które lubią mieć ozór ciągiem w ruchu. Wszyscy siedzą dokoła stołu i czekają na ducha w wielgiem naprężyniu wszyćkich członków.

Nagle słychać cienki głos:

— Odwal pan, bo cię kopnę!

— Jakże można — reflektują zawodowi spirytyści — spłoszy pani, panno Franiu, ducha!

— Aha! Ładny mi duch!... Uszczypnął mnie w kolano... A do tego ma taką zimną rękę...

— Właśnie!... Właśnie!.. Duchy mają zawdy zimne ręce!...

— Już ja nie chcę!... Niech sobie ten duch idzie do koga innygo... Ja się bez niego obeńdę!...

W tyj chwili zafajczył ktoś zapałkę i przekonalimy się, że wszyscy są, brakuje ino Felka. Już my myśleli, że go duch porwał, ale sie pokazało, że cholernik wlazł pod stół i z podspodu był ducha udający...

— Świnia z pana! — rzekła mu panna Frania, teroz już z pewnością widząca, że to nie duch...

A on jij na to:

— Pani wi, panno Franiu, co powiedzioł Mickiewicz?... „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga... tam“...

— Ale nie ręką i to do tygo zimną! — przerwała mu deklamacyję. — A złamać to se pan może kark, jak pan mo ochotę...

Naturalnie skróś onygo Felkowygo figla duchy się nie pokazały. Może zreśtą na ten wieczór nimiały wychodka, bo im nie zawdy wolno łazić po świecie. Posiedzynie zatym odłożoco na kiedyindzij, a panna Frania się zastrzegła, że abo się musi cały czas lampa świcić, abo Felka się przed tym wyrzuci za drzwi, aby nie przeszkadzoł.

Jo tu w takie głupstwa nie jestem się bawiący!... Tak, jak Felek wywoływałem i jo duchy, kiedy byłem młodszy, teroz wolę syjansy spirytusowe u Siapsi. Ale jak je tu urządzać, skoro sznapitura tako drogo, że mało sto koron, aby se cycnąć w porządku i to na samiczko, nie w towarzystwie. I co ci dadzą za te ciężkie hopy?... Nie uczciwą trunkowość, co to od nij oko bieleje, ale jakąś denaturowaną wodę!...

Aż mi się słabo robi, na samo wspomnienie, jakie to bedą świenta Wielganocne bez trunkowości i świńskigo ciała!... Gudłaje bedą mieli bodaj macę, a my nie bedziemy se mogli nawet pomacać, bo skróś owych coraz lepsiejszych stosunków nimo sie nijakij ochoty do niczygo!

I z tygo powodu nie wienszuję nawet Czytelnikom „wesołygo jojka“, bo i jak się one mają weselić?...

Do bani z takiem życiem!

⊙ ⊙

Z anekdot o „głowach koronowanych“.

Na początku obecnej wojny zjechał się cesarz Franciszek Józef z Wilhelmem. W trakcie rozmowy pyta władca Austryi swego sprzymierzeńca:

— A do którego roku życia myślisz powoływać pod broń obywateli?

— Aż do mojego wieku! — odparł zagadnięty.

— To i ja zrobię to samo!... — dodał Franciszek, zapominając, że już przekroczył ośmdziesiątkę.

I kto wie, czy nie byłoby się tak stało, niestety, umarł, nie doczekawszy się końca wojny.

* * *

Król angielski, Edward, trzymał ostro swe dzieci.

Raz w czazie obiadu odzywa się książę Walii, dzisiejszy król Jerzy:

— Tatusiu!...

Ojciec spojrzał nań surowo i rzekł:

— Dziecko powinno odpowiadać tylko na pytania, a ja się o nic nie pytałem!

I jadł spokojnie, a gdy skończył, zwrócił się do syna z zapytaniem:

— No... i cóż chciałeś powiedzieć?

— Już zapóźno! — ten na to. — W sałacie, którą tatuś zjadł, była gąsienica!...

* * *

Nauczyciel, kształcący jednego z austryackich arcyksiążąt, prowadzi swego pupila do muzeum zoologicznego, aby mu pokazać różne zwierzęta.

— Oto orzeł, proszę waszą cesarską wysokość — rzecze, wskazując na wypchanego ptaka.

Arcyksiążę popatrzył na okaz, potem na mentora i zauważył:

— A gdzież ma drugą głowę?... Nasze orły austryackie są przecież dwugłowe, mają wystawione języki i korony na głowach...

* * *

Na hiszpańskim dworze panuje nader surowa etykieta.

Zdarzyło się raz, że młody oficer gwardyi, idąc korytarzem zamkowym, natrafił na jakąś niewieścią postać, wyglądającą oknem. Z „odwrotnej strony medalu“ zdawało mu się, że to jedna ze znajomych dam dworu. Uszczypnął ją zatem lekko, lecz... nie w policzek...

Gdy się nagle odwróciła, poznał ku swemu przerażeniu, że to królowa w swej własnej osobie...

Padł zatem na kolana i zawołał:

— Najjaśniejsza pani!... Jeżeli serce twe jest tak twarde, jak twój pośladek, jestem zgubiony!... Przebacz!...

Dobra i litościwa królowa przebaczyła młodzianowi.

* * *

Po polowaniu, które Marya Teresa urządziła w czasie swego pobytu na Węgrzech, rozmawiała cesarzowa podczas śniadania z przedstawicielami tamtejszej arystokracyi, a między nimi i z baronem Mikoszem.

Rozmawiano o wszystkiem i o niczem, wkońcu rozmowa zeszła na rękawiczki.

— Ja używam stale rękawiczek jelonkowych — mówiła cesarzowa. — To działa bardzo dobrze na skórę... Nie marszczy się i jest gładka...

— Tak!.. I ja to zauważyłem — przerwał Mikosz.

— Pan jednak nie nosi wcale rękawiczek, o ile mi się zdaje! — zauważyła monarchini.

— Ale zato pod spodem mam majtki z jeleniej skóry... Jeśli państwo nie wierzą, mogę pokazać!...

Ogólna konsternacya i oburzenie na Mikosza, bo i jakież wyobrażenie będzie miała cesarzowa o inteligencyi węgierskich arystokratów, w owym czasie już nie wycierających nosa w rękaw.

Po naradzie postanowiono, że Mikosz musi się zrehabilitować w oczach cesarzowej i tak urządzono, by się z nią znów spotkał przy najbliższej sposobności.

Nagadano mu naturalnie, jak się ma zachować, a on dał słowo, że się do rad zastosuje.

I gdy cesarzowa, narzekając na kłopoty i troski, z jakiemi połączone jest panowanie, rzekła:

— Ot!... Te siwe włosy i zmarszczki na twarzy, to następstwa strapień, od których nie jest wolny i panujący, choć mu tak zazdroszczą inni!...

— O, najjaśniejsza pani! — przerwał Mikosz. — Do... bani z włosami, mam je gdzieś!... Pluję na twarz, byle serce było dobre!...

I z uśmiechem wycisnął na jej ręce głośny pocałunek, pewny, że teraz chyba etykiecie w niczem nie uchybił...

* * *

— Powiadają, że jestem najpotężniejszym władcą na świecie, a przecież tu nikim wyręczyć się nie mogę — rzekł do siebie z goryczą samodzierżca Wszech-Rosyi, wracając z ubikacyi, oznaczonej na drzwiach dwoma zerami.

⊙ ⊙

Myśl kokoty.

„Świat jest zły, niesprawiedliwy
Wszystko nam zarzuca!“
Tak myślała i wzdychała
Aż skrzypiały płuca.
„Świat nas zowie upadłemi“
Klątwę na nas ściąga
Choć się zawsze podnosimy
Z łóżka lub szezlonga!

Zabawa w plebiscyt

W pokoju dzieci hałas i krzyk. Słychać nawet płacz małego Jasia. Wobec tego wpada matka do pokoju, aby pogodzić zapaśników, którzy się zapewne pobili.

— Znowu bójka? — pyta, otwarłszy drzwi.

— Nie, mamusiu my się bawimy! — odpowiada starszy, Staś, atakujący właśnie z haczykiem od pieca w ręku, młodszego, Jasia, który zapłakany, zasłania sobą koszyk z węglami...

— A w cóż wy się bawicie?

— W plebiscyt, mamusiu!... Ja jestem Czech, a Jaś jest Polak... Ja mu chcę odebrać węgle, a on mi ich nie chce oddać...

Mama, która w tym wypadku odegrała rolę międzynarodowej komisyi plebiscytowej, okazała swą neutralność, kochając bowiem bardziej Stasia dała Jasiowi klapsa i rzekła:

— Oddaj mu zaraz!... On jest starszy!...

A gdy biedny Jaś się głośno rozpłakał, zawołała z gniewem:

— Nie becz, bo dostaniesz w skórę!...

Z listów Hermogenesa Klapy.

Nowy Jork.

Kochany Krakowie!

Zapewne niejeden i niejedna, przeczytawszy skąd ten list piszę, powie, a przynajmniej pomyśli sobie: a tego gdzie dyabli znowu zanieśli?

Niestety, nie moja w tem wina, że muszę pędzić taki żywot wiecznego tułacza, lecz zawodu, któremu się poświęciłem. A mam już taką naturę, że zawsze idę na całego. Kto jest politykiem i dyplomatą, musi jeździć.

Na Wielki Tydzień wybierałem się wprawdzie do Rzymu i już miałem nawet zamówiony przedział w wagonie sypialnym (a trzeba wiedzieć, że we Włoszech pełnią służbę na kolejach konduktorki, młodsze i ładniejsze, niż ich krakowskie koleżanki tramwajowe!...), gdy otrzymałem dwa listy, jeden od Wilsona, drugi z Rjeki, od d'Annunzia.

Wilson pisał:

„Kochany Klapa! Byłoby mnie i mojej starej bardzo przyjemnie, gdybyś zechciał spędzić Wielkanoc u nas. Urządziliśmy *Familienfest*, szynki, kiełbas i innych delikatesów więc nie braknie. Ale wódkę musisz przywieźć ze sobą, bo u nas trudno o nią nawet w pasku. Na wszelki wypadek przylep jednak na butelce etykietę apteczną z napisem: „Płukanie“, aby Ci przy rewizyi nie skonfiskowano. A te szelmy, nasze celniki, mają doskonałe nosy i zwłaszcza alkohol wyczują zawsze. Wiem, że mi nie odmówisz, czekam zatem na Ciebie i z całą przyjemnością przycisnę Cię do mego kochającego łona.

Twój
Woodrow“.

Treść zaś listu d'Annunzia była następująca:

„*Mio caro!* Dowiedziałem się, że masz ochotę odwiedzić mnie w Rjece, gdzie zakładam swoje własne państwo na złość koalicyi i Wilsonowi. Będę Ci bardzo rad, choć Cię nie znam!... Ale się spiesz, gdyż w najbliższym czasie wyjeżdżam aeroplanem do Tokio. Może zechcesz mi towarzyszyć? Byłoby mi bardzo przyjemnie!... Na Twoją cześć napisałem taki sonet, że niech się schowa Bider, a nawet Staszek Stwora!... Sam Ci go odczytam, a nazywam się Teitelbaum, nie d'Annunzio, jeśli się nie rozpłaczesz ze wzruszenia. Zatem czekam...“

Zastanowiłem się głęboko nad obu listami, ostatecznie przecież zdecydowałem się na podróż do Ameryki. Annunzio nie ma nic lepszego do roboty, niech zatem na mnie czeka. Z Wilsonem zadzierać nie myślę, mogę go jeszcze potrzebować, zwłaszcza, że Stany Zjednoczone zapowiadają, iż czują, że znowu będą musiały interweniować w Europie, aby tylko nie z takim skutkiem, jak dotychczas!

Zresztą — pomyślałem sobie — Annunzio gotów mnie w samej rzeczy namówić na tę podróż powietrzną, a nie mam ochoty skręcić kark gdzieś w drodze, o co chyba nie trudno!.. Co mi to zresztą za podróż, podczas której nie można nawet urządzać popasów. Ponadto garderoba moja jest bardzo „wojenna“ i zwłaszcza dla patrzącego z dołu mógłbym się przedstawić w bardzo niekorzystnem świetle.

Za podróżą do Ameryki przemawiała nadto ta jeszcze okoliczność, że krakowski Uniwersytet prosił mnie, abym zabrał dyplom honorowego doktora medycyny dla Hoovera.

Zamiast zatem do wagonu, wsiadłem na okręt i prosto z Neapolu popłynąłem do Nowego Jorku. Po drodze okręt się nie rozbił, a ja nie utonąłem, czego dowód, iż własnoręcznie piszę ten list. Kapitan bardzo miły człowiek, jego żona, cukiereczek... Zapoznałem się bliżej z jej majtkami, bo, jeśli mam prawdę powiedzieć, to ona właściwie rej wodzi na okręcie, nie jej mąż, stary safanduła, przypominający „wilka morskiego“, ale wypchanego. Bawiłem się tak dobrze, że nie miałem nawet czasu zapaść na morską chorobę. Słyszałem, że panuje ona już i w Krakowie, bo zasłabł na nią poważnie pewien kolega po piórze, pisząc w Esplanadzie, czy też u Bisanza, swoje wrażenia z podróży.

Z Nowego Jorku, nie zatrzymując się tam wcale, przyjechałem do Waszyngtonu, do państwa Wilsonów. I Hoover także tam mieszka.

Któż sobie wyobrazi moje rozczarowanie, gdy w „Białym domu“ oświadczył mi Lansing, że Wilsona niema, wyjechał bowiem na dłuższy czas i nie wróci, dopiero po świętach.

— A pani Wilsonowa? — zapytałem.

— Obecnie zajęta!... — odpowiedział. — Przed świętami urządza wielkie pranie, wiesza firanki, trzepie meble...

— Pocóż mnie zatem zaprosili?

— Kto?...

— Oni!...

I pokazałem mu list. Gdy przeczytał, rzekł:

— Ktoś pana wziął na kawał, panie Klapa!... To nie Wilson pisał...

— Na kawał?... — i w tej chwili przypomniało mi się, że za ostatniej mej bytności w Londynie powiedział mi Lloyd George w przystępie irytacyi: „Już ja panu urządzę *prima Aprilis!*“...

Rozjaśniło mi się, ale nie dałem tego poznać po sobie, owszem udawałem obrażonego i rzekłem:

— Panie Lansing, może być źle!... Nasze przysłowie mówi: „Nie rób z tata waryata, a z mamy panoramy!...“ Za stary jestem i za poważny, aby sobie ze mnie urządzano kpiny i narażano mnie na utopienie się we wodzie... słyszy pan?... we wodzie!... Proszę powiedzieć panu Wilsonowi, że jestem obrażony śmiertelnie i zatelegrafuję natychmiast do ministra Pateka, aby zerwał z wami stosunki dyplomatyczne!... Z Klapą, to nie żarty!... Ja sobie nie pozwolę dmuchać z przeproszeniem... w kaszę!...

— Ależ panie Klapa — uspokajał mnie. — Niech pan tego tak seryo nie bierze... To się wyjaśni!

— Obejdzie się! — odpowiedziałem. — Przekonacie się, co to znaczy zadrzeć z Klapą!

I odszedłem, nie pożegnawszy się z nim.

Tego dnia prześladował mnie widocznie pech, choć nie pomnę, którą częścią ciała wstałem rano „do góry“... Hoovera nie zastałem, wyjechał bowiem do narzeczonej, która mieszka w Nowym Jorku. Jadę za nim, aby mu wręczyć dyplom i wygłosić okolicznościową mowę.

List ten piszę w drodze, oddałem go zaś na pocztę w Nowym Jorku, gdzie się zapewne dłużej zatrzymam, o ile naturalnie tymczasem pan Patek nie wypowie Stanom Zjednoczonym wojny, by widzieli wszyscy, że Klapa nie wypadł sroce z pod ogona i z kimże okoliczność!...

Co się stanie, o tem już w liście następnym.

Bądźcie zdrowi, bo tam i chorować nie warto!

Klapa.



Praktyczny przemysłowiec.

(Rzecz dzieje się w restauracyi).

— Więc lampki wina dostać nie można?

— Nie, panie dobrodzieju!... Tylko całą flaszeczkę...

— Jakaż cena?

— Pół buteleczki austryackiego trzydzieści koronek.

— Trzydzieści?... I pan masz sumienie?... Toż w tej flaszce niema więcej, jak cztery kieliszki..

— Ma pan dobrodziej racyę!... Będą może ze cztery, a może i nie...

— I taka cena?...

— A jakże!... Pan dobrodziej wie, że pan minister Grabski podniósł cło o siedmset procent?...

— Wiem!

— W takim razie, nie powinien się pan dziwić!

— Ależ pan wina teraz nie sprowadzał!... To zapas z dawnych czasów!

— I to prawda!... Ale, gdybym był sprowadził, musiałbym zapłacić... Kupiec musi kalkulować tak, aby wyszedł na swoje!... Trzeba zresztą powoli przyzwyczajać gości do wyższych cen bo i te pójdą jeszcze w górę... Ponadto, musi pan wiedzieć, że i woda teraz podrożała!... Pan dobrodziej mnie zapewne rozumie...

— Niestety!...

⊙ ⊙ ⊙

Gościnna.

Jakiś młodzian wszedł do sieni,
Pędzi w górę po trzy schody;
Widać, że mu bardzo pilno,
Nic dziwnego — taki młody.

Panna w cudnym negliżyku,
Stoi wsparta na poręczy...
Młodzian nagle wpada na nią,
Nie umyślnie — jak sam ręczy.

— Ach! przepraszam! — rzekł zmieszany,
Karambolem winowajca.
— Ach! przepraszam! Czy tu mieszka,
Panna Fifi Odrodajca?

Piętro wyżej! — rzecze panna;
Do młodzieńca robiąc oko.
Lecz zwij mnie pan Odrodajcą,
Po co lecieć tak wysoko!?...

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Karczmarskiego.



— Pod biegunem trwa noc całe pół roku.
Ona (z westchnieniem): Szczęśliwe kobiety!